№ 15. Warszawa, dnia 2 (14) Kwietnia 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z literatury bieżącej.

D-r Antoni J. Szkice i opowiadania, serya V. Wydane w Warszawie.

Opowiadanie p. t. „Samuel Łaszcz", pomieszczone w Szkicach D-ra Antoniego J. o których już w roku zeszłym mówiliśmy, jest obszernym życiorysem tego awanturnika, jednego z kategoryi, licznie reprezentowanej w dziejach dawnej Polski. Takich gwałtowników, nie zważających na słuszność i prawo, a dogadzających jedynie swym zachciankom, urągających jawnie pięknym teoryom o swobodzie i wolności szlacheckiej, Rzeczpospolita wydała sporo, poczynając właśnie od epoki ustalenia elekcyi i rzekomej demokracyi szlacheckiej, która już od początku była nieznośnie tyrańską oligarchią niewielu rodzin magnackich, począwszy od Samuela Zborowskiego za czasów Henryka i Batorego, aż do Potockich, Radziwiłłów i innych z ostatniej epoki upadku, poczet ich spory zapisały dzieje. Jednym z takich był właśnie Samuel Łaszcz, za panowania Zygmunta III i jego synów, rotmistrz królewski, waleczny w wojnach z Tatarami i Kozaczyzną, ale obok tego pozwalający sobie wszelkich bezprawi względem spółobywateli. Najeżdża i rabuje sąsiadów, pali dwory i chaty, dzierżawców swych wiosek zwykle wyrzuca i rujnuje. Dokazywał długo bezkarnie, gdyż protegował go hetman Koniecpolski, potężny za czasów Władysława IV. Pokrzywdzeni skarżą się w sądach, które wydają na Łaszcza dekreta uwięzienia, banicyi i infamii (jednoznaczne w dawnej Polsce z wyrokiem wiecznego wygnania i śmierci), ale Łaszcz drwi sobie z tego, owszem przechwala się w roku 1635, że przeciwko niemu wydano już 236 wyroków banicyi i 37 infamii. Boją się go wszyscy, owszem podziwiają, on to bowiem, jak twierdzi nasz autor, pierwszy zaczął golić czuprynę, „ażeby nie mieć nic wspólnego z kobietami", a spółcześni zaczęli na wyścigi naśladować tę modę, która wkrótce stała się powszechną.

Pomimo owych dekretów sądowych, pan Samuel otrzymał nawet urząd strażnika koronnego i broił sobie dalej, ufny w protekcyą hetmana i samego króla.

Tak gdy niejaki Geronojski, dzierżawca jednej wsi Łaszcza, został przez niego wyrzucony i uzyskał nowy dekret infamii, hetman dał strażnikowi glejt czyli list zabezpieczający. Szlachcic udał się do samego króla i Władysław IV nakazał wojewodzie kijowskiemu Tyszkiewiczowi, egzekucyą wyroku.

Wtedy Łaszcz udał się śmiało do Warszawy na dwór królewski, podanie mówi nawet, że ubawi króla i dworaków, pokazując się w płaszczu, podszytym wszystkiemi wydanemi przeciw niemu dekretami. Skończyło się na tem, że Władysław IV-ty go uwolnił i Łaszcz wrócił do domu 1641 r. Czas jakiś siedział cicho, ale niebawem zaczął broić po dawnemu.

Skrzywdzony przez niego niejaki Charlęcki uzyskał nowy dekret, a że hetman Koniecpolski, protektor Łaszcza, zmarł właśnie w roku 1645, król zaś powtórnie przebłagać się nie dał, zabrano się ostro do pana strażnika. Wojewoda Tyszkiewicz zebrał aż 12,000 pospolitego ruszenia (przeciwko jednemu awanturnikowi, niby przeciwko Szwedom lub Tatarom!) i pociągnął na Łaszcza.

Musiał więc pan strażnik tułać się po lasach, a ukrywał się z takim skutkiem, że gdy Tyszkiewicz zdobył dwór jego i wyrzucił ztamtąd jego żonę z dziećmi, samego banity nie znalazł. Zawierucha kozacka i bezkrólewie, które wkrótce potem nastąpiły, sprzyjały Łaszczowi: sprawa jego poszła w niepamięć i pan strażnik nawet zaciągnął się do wojska, gdyż zwyczaj pozwalał na to nawet banitom i skazańcom. Bił się mężnie, uwolniono go więc 1649 roku od infamii, a po potyczce pod Piławcami, gdzie Chmielnicki zadał Polakom ciężką klęskę, pan strażnik uciekając, trafił do Krakowa i tam zmarł z ran w jednym z klasztorów tegoż 1649 roku.

Jak władze Rzeczypospolitej były pochopne do przebaczenia, tak i spółcześni zapomnieli prędko

winach Łaszcza, a jedną z jego krewnych, opiekunka jego dzieci, chlubnie nawet wspomina o nim w swym testamencie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NIEPEWNOŚĆ.

Niepewność serca — to męka Tantala,
To otchłań w którą sen twój złoty pada,
Z której jak mara patrzy rozpacz blada
I nowych cierpień płynie mętna fala.

Niepewność serca, to siła co zmusza,
Byś po nad ziemię wylatał jak ptaki,
I choć wyszedłeś na niebieskie szlaki,
Błąkać się musisz, jak pokutna dusza.

...Gdy jej nie widzę tysiąc dziwnych rojeń
Przez moją biedną przelatują głowę,
I rozerwany jestem na połowę —
Jedna dla męki, druga dla upojeń.

A kiedy spotkam jasne jej wejrzenie,
Tak niewyraźnie robi się na duszy,
Że chętniej zniósłbym największą z katuszy,
Jak tę męczącą niepewność, złudzenie.

Gdybym już wiedział, kocha czy nie kocha?
Raz rzekłbym sercu śród pustych omamień:
Zakwitnij różą, albo zmień się w kamień!
Ale nie powie, nie powie, ah, płocha!

I w niepewności nieprzytomny wołam:
— Zrób koniec ze mną i nie męcz mnie dłużej,
Bo zawieszony jak obłok w lazurze,
Nie śmiem się podnieść, a upaść nie zdołam!

Wł. Trzciński.

NIE UTONĄŁ.

NIE UTONĄŁ.

NOWELA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Wyniosła, smukła, z błyszczącemi oczami i drgającemi śmiechem usty, przed oczami zebranych, pojawia się nagle, jak wcielenie żywe wesela i każde z obecnych doznaje wrażenia, jakby przez grube chmury przedarł się naraz promień jasny słońca.

Głębokie rozradowanie, w połączeniu z uwielbieniem gorącem, rozjaśnia czoło hrabiego, który z uśmiechem wyciąga do niej ręce.

Dziewczyna podchodzi do niego, jednym skokiem sadowiąc się na ojca kolanach.

— Autor! autor! Kto jest autorem tej historyi? Niech rzucę liść wawrzynu, na wieszcze jego czoło! — woła z patosem tak niezrównanym, że najpierw hrabia, za nim zaś kobiety obie, poczynają śmiać się mimowoli.

Panna Anna spogląda na nich, przechylając figlarnie uroczą główkę.

— Śmieją się, jakby nie płakali tu przed chwilą, nie dręczyli się tając przedemną powód zmartwienia z gorliwością wartą lepszej sprawy.

Wspomnienie troski ciążącej ołowiem na jej duszy, zasępia na nowo rozpogodzone chwilowo oblicze hrabiny.

— Dziecko najdroższe — wymawia łagodnie — pragnęliśmy jak najdłużej ochronić cię od zetknięcia z brzydotą głupiej ludzkiej złości.

— Brzydotą?!—woła śmiejąc się dziewczynka— ależ to piękne, śliczne, cudowne! Raz nareszcie wykierowano mnie choć fikcyjnie na bohaterkę, czegóżby to? dramatu... boć historya taka w mem położeniu, nie mogłaby jak skończyć się tragedyą. To mnie zachwyca! Widzę, że świat poczciwy zaczyna robić mi niespodzianki. Miałam się zawsze za istotę tak pospolitą, iż doznawałam nawet pewnych maleńkich zgryzot na tym punkcie, gdyż zdawało mi się, że z całej mej osoby, nie możnaby wycisnąć treści, ani na jedną skromną balladę. Obecnie poczynam być z siebie dumną!

Słowa mówiącej przerywa hrabia, który obejmując ramieniem kibić córki, przyciska ją gorąco do swej piersi.

— Zmuszasz mnie przyznać, moja dziewczyno, że i ja także. — Przemawia wesoło, mocno wzruszonym głosem.

Rozkosznie pieszczotliwym ruchem, Anusia obejmuje jego szyję, przytulając różaną twarzyczkę do szorstkiej, szpakowatej brody.

— Jesteśmy więc w porządku. Ogólne zadowolenie, którego zdaje się nie dzielić, tylko droga mateczka.

Istotnie melancholia nie chce się na dziś rozstać z piękną twarzą poważnej damy, która zarzuciwszy na kolana załamane dłonie, spogląda na śliczne swe dziecko z rozrzewnieniem, mieszającem się w jej oczach, z ciężkim smutkiem.

— Dzięki Bogu, że przyjmujesz bolesną tę sprawę tak jak widzimy to, Anno — wymawia z westchnieniem — teraz przecież, gdy wiesz już wszystko, należy nam z obowiązku zwrócić twą uwagę, że rzecz cała, ma swoją drugą, bynajmniej nie komiczną stronę. Trzeba nam przedewszystkiem, naradzić się wspólnie seryo, co czynić wypada, wobec napaści nędznych tych ludzi.

— Co? — przerywa niedbale dziewczynka — ależ, pozwolimy im improwizować dalej i będziemy bili brawo!

— Mówmy poważnie, drogie dziecko — wtrąca z dobrocią hrabia — zdaje mi się, że rozumiesz, iż położenie twoje, nie będzie wcale łatwe wobec pocisków sąsiedzkiej opinii, które jak sądzę, niejednokrotnie jeszcze spadać będą na twą głowę.

Dziewczynka słucha z uśmiechem, patrząc mu w oczy, oparta rączkami na jego ramionach.

— Sąsiedzka opinia! Żartuj sobie z tego tateczku! Nie lękam się jej ani trochę. Pójdę odważnie, wprost w paszczę tego potwora i nie zdoła on mi uczynić nic! Straszne jego zęby, osuną się bez szkody po żelaznym pancerzu, jaki sobie uczynię z dobrego mego przyjaciela humoru. Mam nadzieję, że wierny ten towarzysz, nie opuści mnie do końca w tej ciężkiej potrzebie i we dwoje, zdołamy kiedyś urwać łeb hydrze! Zresztą, by zostać zranionym, potrzeba mieć słabą jakąś stronę, ja zaś nie mam nawet achilesowej pięty, w którą możnaby mnie ukąsić.

Poraz drugi ramiona ojcowskie chwytają dziewczynkę w długi, silny uścisk, tuląc ją do szerokiej piersi.

Wszystkie twarze jaśnieją teraz stałą pogodą, w smętnych oczach hrabiny pojawia się nawet cień uśmiechu. W szafirowym saloniku, mimo czarniejszej coraz nocy, zdaje się zapanowywać atmosfera coraz światlejsza.

Dobroczynna czarodziejka, sprawiająca wszystkie te cuda, kołysze się swawolnie na kolanach ojca, zarumieniona rozkosznie w blaskach gorących żarów kominka.

Serduszko jej przepełnia uczucie głębokiego zadowolenia. Powiedziała sobie, że do niej należy pocieszyć swą rodzinę i udało jej się to odrazu. Radość wewnętrzna odbija się silnie na zewnątrz jej istoty, czyniąc ją śliczniejszą niż kiedykolwiek. Jest szczęśliwą tak bardzo, tak szczerze, że mogłaby nawet uściskać swą kochaną galicyjską ciocię, nie wyłączając z łaski, złotowłosego jej Apolina, choć nie potrzeba jej tłomaczyć, że w ich to głowach, piękne to źródło mętne toczące fale wzięło początek!

Zresztą, cała ta sprawa, wydaje jej się tylko szalenie śmieszną.

— Boże — odzywa się po chwili rozmyślań, kręcąc poważnie główką — jakże małą rzeczą możemy sobie zatruć życie i jak drobną również dozą filozofii można je uchronić od rozbicia!

— Pogrzebiemy też odtąd całą tę sprawę, drogi mędrcze i będziem weseli znowu jak aniołowie w niebie! — odpowiada żartobliwie pan domu. — Oddawna już przekonać się staram, kochane nasze pessymistki, iż wiele nizkich rzeczy stających nam na drodze, trzeba umieć zdeptać w pochodzie, jeśli chcemy, by nie wyrosły przed nami do wysokości barykady, przeszkadzającej nam postępować dalej, teraz przecież, gdy zyskałem sobie tak dzielnego sprzymierzeńca, spodziewam się, że potrafimy dowieść im tego we dwoje. Jak zwykle w świecie, wszystko skrupi się zresztą na niewinnej ofierze, gdyż będę musiał oddalić Jana.

Na pogodnym horyzoncie familijnego kółka, zachodzi nagle coś niezwykłego, wprowadzającego w zdumienie obecnych, nie mogących pojąć, co się stało.

Proste słowa hrabiego, sprawiają skutek równający się wybuchowi, silnego dynamitowego ładunku.

Panna Anna podskakuje w górę, stając odrazu na równe nogi.

— Oddalić Jana? oddalić Jana?! — woła patrząc na ojca otwartemi szeroko, przerażonemi oczami. — Oddalić Jana? Nie! nie! nigdy! Nie uczynisz tego! nie możesz uczynić tateczku, tateczku... drogi mój ojcze!

W głosie jej brzmią coraz silniejsze akcenta rozpaczy, ostatni zaś okrzyk, niknie w gwałtownym uścisku, z którym się rzuca na szyję ojca.

Znający szaleństwa córki hrabia, sądzi na razie, iż ma do czynienia z nowym jakimś żartem. Gorące przecież tony prośby, wyrywające się z piersi błagającej, zwracają jego uwagę. Odsuwając dziewczynę zlekka od siebie, przechyla nieco w tył dłonią uroczą główkę, patrzy jej w oczy badawczo.

— Co to znaczy? co ci jest Anno? — pyta poważnie.

Dziewczynka spostrzega, że stoi o krok od odkrycia wielkiej swej tajemnicy i dziecięca jej twarzyczka blednie z przestrachu. Równocześnie przychodzi jej na myśl, że postępowaniem swojem, zdolną jest zaniepokoić całą rodzinę, poniekąd nawet usprawiedliwić potwarcze pomysły Endymiona. Logiczna ta kombinacya wprawia ją w wesołość tak szczerą, że parska śmiechem w chwili, gdy ojciec zatapia w jej źrenicach surowe spojrzenie. Chichotałaby szalenie, gdyby nie potrzeba nakazująca jej przyjąć rolę hipokrytki.

Hamując niewczesne wybuchy wesołości, bohaterka nasza zdobywa się na powagę i ujmując w obie rączki głowę ojca, poczyna łasić mu się jak pieszczona kotka.

— Widzisz, jakiś to niedobry, jaki niepoczciwy — wymawia słodko, całując raz jeden, to drugi policzek hrabiego. — Patrzysz na mnie, jak na waryatkę, i chcesz niepotrzebnie krzywdzić tego biednego chłopca! Cóż on winien, że w niedorzecznej tej paplaninie wzięto sobie za temat jego i moją osobę? Czyż sprawiedliwie zrobiłbyś go ofiarą swego gniewu? Nie, nie, to nie byłoby godnem mnie ani ciebie. Zresztą ty nie możesz, nie powinieneś oddalać Jana! Właśnie, byłoby to coś zupełnie w myśl plotkarzy. Musiało coś być, było niezawodnie, skoro go oddalili. Taki piękny okrzyk rozległby się po całym powiecie i bylibyśmy już wobec niego bezsilni! Nie mój ojcze, Jan potrzebny mi jest tutaj jako tarcza mego honoru. Powinni ludzie widywać go bez zmiany, stale na naszym koźle, lub za moim koniem, gdy wyjeżdżam na spacer. Tym tylko sposobem zdołamy zamknąć paszczę, chcącemu mnie pożreć potworowi.

Rozumowanie panienki, zdaje się mieć dość silną, logiczną podstawę i poprzednie jej uniesienie, tłomaczy się tym sposobem.

Po chwili ogólnych debatów, zebrani przyznają jednozgodnie, że dziewczynka ma słuszność.

Potrzeba śmiało pójść pod prąd parafialnych bajek, by przełamać ich siłę. Panna Anna twierdzi zresztą z wielką pewnością siebie, iż potęga ta nie na długo może być straszną. Musi zmódz się wkrótce sama, przez ustanie zfatygowanych języków, wysilonych pierwotną mocą własnej siły obrotowej.

Zaostro one wzięły się do roboty, by nie miały zmartwieć bezsilnie w połowie drogi.

— Wszystko to bardzo pięknie, lecz zachodzi jedna jeszcze kwestya drażliwa — zabiera głos pan domu. — Cóż poczniemy, gdy zanim umilknie echo tych nędznych baśni, zdoła ono dojść ucha samego Jana?

— Oh, spodziewam się, że temu nie uwierzy! — wydaje wesoły okrzyk dziewczynka.

— Co ty wiesz o tem, dziecko — odpowiada hrabia łagodnie. — Samo już rozejście się odgłosu tej historyi, bez potwierdzenia choćby prawdziwości faktu, postawi cię w fałszywem położeniu wobec własnego sługi. Ludzie tej sfery, stają się niemożebni, gdy imię ich panów raz już zestawionem się znajdzie z ich własnem imieniem. W całem tem zajściu osóbka twoja drogi mój trzpiocie, wyglądać musi śmiesznie! zupełnie śmiesznie!

— Cóż ja już na to poradzę! — wymawia rezolutnie dziewczyna. — Na tym punkcie, czuję się bezsilną. Nie dowodzi to wcale, bym się dała pognębić tym wypadkiem. Boże mój! tyle na tym wesołym padole, znajduje się rzeczy kolosalnie śmiesznych! czemużbym ja nie miała stanąć na czas pewien w tem komicznem oświetleniu?

Bohaterka nasza, znajduje się w tak gruntownie dobrem usposobieniu umysłu, iż zdaje się, że żadne w świecie wstrząśnienie, nie zdołałoby jej wytrącić z posad niespożytego humoru. Ani na chwilę nie opuszcza jej myśl figlarna, że posiada w swym arsenale taką nagromadzoną moc ważnych argumentów, któremi mogłaby zdruzgotać odrazu, nietylko piekielny gabinet czarnej obmowy, lecz i słuszne rodzicielskie obawy. Ostrożność zabrania jej wprawdzie użyć swej broni, lecz samo poczucie własnej siły, dopomoga jej dzielnie do znoszenia pocisków, sypiących się na młodą jej głowę.

Hrabia za to nie patrzy na wszystko przez różowy pryzmat nieopatrzności młodzieńczej, i poglądy jego zarysowują się w nieco odmiennych barwach.

— Serduszko twoje, droga dziecino, czystem jest jak kryształ, dlatego to nie możesz jeszcze zdobyć sobie jasnego pojęcia o pospolitej istocie brudnych ludzkich stosunków — przekonuje córkę dobrotliwie. — Lecz ja stary, mam obowiązek czuwania nad tobą. Oddalę Jana, gdyż nie chcę, aby widywał cię, przynajmniej wtedy, gdy powiat cały stawia go obok ciebie w sposób tak podle brutalny!

Urocza twarzyczka promiennej bajadery zasępia się czarną chmurą smutku, brwi ściągają silnie, ruchliwy umysł poczyna pracować energicznie nad sposobem wydobycia się z koła niepodobieństw, ściskającego coraz ściślej ją i jej protegowanego.

— Otóż, piękny koniec historyi! — rozmyśla z goryczą. — Oddalają Jana i to przez nią! dla niej! To okropne! okropne! — wybucha naraz głośno, okrzykiem namiętnym.

— Co jest okropnem? — pyta śmiejąc się hrabia.

— To, że nie jestem chłopcem! — odpowiada dziewczyna, odrzucając z czoła zwichrzone włosy. — Nie mogę zarąbać Endymiona, nie mogę obronić sama mego honoru, nie wolno mi nawet, drwić sobie z opinii głupców! Straszna egzystencya cieplarnianego kwiatu! Potrzeba mnie osłaniać z tej i owej strony, by mi nie zaszkodziło ostre tchnienie świata. Mniejsza o bezwartowość podobnego stanowiska, lecz niech gołębia ma niewinność, nie żywi się kosztem niesłusznie pokrzywdzonych. Nie tateczku, ty nie możesz wypędzić Jana. Byłby to postępek ściągający na mą głowę grom potępienia. On powinien pozostać w twym domu. Jeśli zaś chodzi ci tak bardzo o moją powagę, to ja ustąpię. Wyjadę do Amelki na pół roku, na rok gdy zechcesz i nie wrócę tu wcale, dopóki ludzie nie zapomną o mej osobie. Pozwolicie mi wyjechać? prawda?

Ostatnią prośbę dziewczynka wymawia niemal ze łzami. Do wzruszenia przyczyniają się niemało wyrzuty sumienia, spowodowane poczuciem własnej nieszczerości.

Pannie Annie nie chodzi bynajmniej o własną opinię. Prosta, jasna jej istota, nie dba o takie drobiazgi! Chodzi jej o zachowanie tego czarnego kawałka chleba dla chłopaka ubogiego, zdobywającego go sobie twardą pracą w służbie u jej ojca. Cichy ten dramat, rozgrywający się z dnia na dzień przed jej oczami, zawładnął tak tkliwem serduszkiem, tak wbił się weń głęboko, całą bolesną oryginalnością swego składu, że bez chwili namysłu, gotową jest poświęcić siebie, dla zapewnienia spokoju Janowi.

Projekt wyjazdu, nie podoba się wcale hrabiemu. Najmłodsze to dziecko, jest źrenicą jego oka i myśl, że utracić ma dziewczynę na tak długo, wywołuje żywą opozycyę.

Prośbę Aneczki popiera za to matka gorąco. Wesołe zakończenie smutnych kolizyi, wprawia ją w dobry humor. Odwiezie dziewczynkę siostrze do Warszawy, przesiedzi tam z niemi całą zimę, ukaże światu ślicznego chochlika i jest przekonaną, że nie zdoła się obejrzeć, jak pochwyci go ktoś z jej objęć.

Od kilku już miesięcy, prowadzi ona usilne układy z rozkochanym ojcem, który ani chce słuchać o urzędowem wprowadzeniu córki między ludzi, pragnąc uroczego swego szatanka choć przez rok jeden mieć jeszcze dla siebie.

Niespodziana potrzeba wyjazdu, przechyla szalę na stronę jej planów. Po energicznym, nawet burzliwym, lecz niedługim zresztą oporze głowy domu, panna Anna na czele zbitych hufcy hrabiny i siostry, zdobywa bohatersko plac boju.

Hrabia posępny, zły, ustępuje przeważnem siłom i projekt wyjazdu zostaje zatwierdzonym.

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

Prace około wystawy powszechnej na rok przyszły, postępują śpiesznym krokiem, mimo, że pole Marsowe ściśle zagrodzone dla publiczności, widać jednak wielki ruch w tej części miasta, a z po za parkanu wybiega w górę olbrzymia wieża Ejbel, która gdy dojdzie swej miary, zapanuje nad całym Paryżem. Wiadomo, że ta nowa wieża Babel, mieć będzie trzysta metrów wysokości.

Zarząd wystawy łamie sobie głowę, nad wymyśleniem osobliwości, jakich dotąd nie widziało ludzkie oko. Do najciekawszych zapewne pomysłów należy historya ludzkich mieszkań, ukazana praktycznie, w wiernych reprodukcyach domów, które przybierały coraz to nowe kształty w miarę rozwoju cywilizacyi. Ogólną dyrekcyą tego dzieła, podjął Karol Garnier, architekt wielkiej opery paryzkiej.

Epoką geologiczną, czyli przedhistoryczną mają przedstawiać jaskinie Troglotydów, wykute w głębi skał i budki Lakustrów, zbudowane na palach u brzegu jezior.

Epokę przejścia wyobrażą pierwotne chaty z nieociosanych pni, lub z brył kamiennych niekształtnie powalonych. Epoka historyczna obejmie różne działy, stosownie do czasu i miejsca. W porządku chronologicznym, ukażą się nasamprzód domy starodawnych chińczyków, jakie budowano na pięć tysięcy lat przed erą chrześciańską. Po nich nastąpią typy w stylu egipskim, przyjęte na cztery tysiące lat przed Chrystusem, u Egipcyan, Assyryjczyków, w Niniwie, Babilonie, u Fenicyan,

Pelazgów i Etrusków. Ostatnie wieki starożytne, przedstawią mieszkania Persów, Hellenów, Rzymian, Gallów i Germanów. Erę chrześciańską rozpoczną domy Hunnów, Franków, Byzantynów, różnych szczepów słowiańskich, Arabów, Turków i t. d., potem wystąpią średnie wieki a po nich epoka odrodzenia.

Te malownicze typy mieszkań ludzkich, ciągnąć się będą po obu stronach Sekwany, około mostu Jena, wszystkie otoczone odpowiednią im roślinnością.

Sądzono zrazu, że to będzie szereg malowanych na deskach dekoracyi, przeciwnie, każdy dom ma być zbudowany z właściwego materyału, opatrzony wewnątrz w sprzęty stosowne do epoki. Przekupnie prowadzić tu będą handel, przebrani w odzież stosowną do czasu i miejsca.

Inną ciekawość stanowi odbudowanie Bastylii. Miała ona stanąć na polu Marsowem, później jednak, zmieniono plan i usunięto ją za obręb wystawy. W bliskości Marsowego pola, od strony Grenelle, znalazła się znaczna przestrzeń wolnego gruntu, dwaj inżynierowie Calibert i Terusson, najęli go na lat trzy i odbudowali tu Bastylią z fossami, mostem zwodzonym i częścią ulicy ś-go Antoniego. Budowa już skończona, a ponieważ jest to prywatne przedsiębierstwo, bez związku z wystawą powszechną, dwaj inżynierowie w tym roku jeszcze ukażą swe dzieło publiczności.

W wyobraźni ludu francuzkiego, pamięć Bastylii zarysowała się w przerażający sposób. Nie miała ona przecież tych olbrzymich rozmiarów, jakie nadała jej legenda. Wysokość gmachu wynosiła zaledwie dwadzieścia jeden metrów, odbudowano ją w dawnych rozmiarach. Stare drzwi i żelastwa zachowane od stu lat przez antykwaryuszów, posłużyły do nowego gmachu.

Wszystko tu odtworzono jaknajwierniej i siedm baszt sterczących w górze i strzelnice i galerye i mosty zwodzone i podziemne lochy, gdzie wtrącano najniebezpieczniejszych więźniów stanu.

Obok Bastylii pobudowano domy o dachach szpiczastych, jakie przed stu laty tworzyły róg ulicy ś-go Antoniego. Przybrano je w szyldy ówczesne: jest tu Hotel pod Złotym Lwem, karczma Dziatwy Bachusa, etc. Z większych gmachów, odbudowano kościół Panny Maryi, który dotąd istnieje w dawnem miejscu, oddany protestantom, wzniesiono też bramę Arsenału i bramę ś-go Antoniego. Na tej ostatniej dwie symboliczne figury Francya i Hiszpania, podają sobie ręce przed posągiem Hymena. Liczba gmachów i domów, wynosi pięćdziesiąt sześć.

W tych domach pracować będą drukarze, tkacze i inni rzemieślnicy, ubrani jak przed stu laty, przy warsztatach ówczesnych. Kościół Panny Maryi, zachował tylko kształt zewnętrzny. Wewnątrz urządzono muzeum XVIII wieku. Na ścianach oddane pędzlem wypadki ówczesne, w witrynach wystawione będą rozmaite pamiątkowe przedmioty, udzielone przez antykwaryuszów.

Przedsiębiercy wydali już z górą milion franków, gotowi na nowe ofiary, aby godnie wywiązać się z zamierzonego dzieła. Chcąc ożywić ten nawał domów i nadać im pozór prawdopodobieństwa, wychowują całą gromadę kotów na poddaszach, dla gołębi urządzono gołębniki; w podwórzach posypują ziarno dla przynęcenia wróbli.

Ta wystawa podobno ma być otwarta w Maju.

DON GESUALDO.

NOWELLA

OUIDY.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Po upływie tygodnia nie mogąc się oprzéć nieprzepartej jakiejś ciekawości, wstał w nocy i zapaliwszy latarkę wysunął się niepostrzeżenie z domu. Zabrał ze sobą łopatę i skierował się ku miejscu gdzie znaleziono zwłoki zamordowanego Tassa Tassila.

Wśród blasków księżycowej nocy, odwieczna topola, co podobno cieniem swoim okrywała niegdyś lombardzkiego księcia, wydawała się jeszcze wspanialszą.

Nikt nie ośmieliłby się dotknąć siekierą pnia olbrzymiego drzewa dla tego, że z niem łączyła się tradycya.

Ptaki nocne zbudzone niezwykłem szelestem zerwały się z krzykiem.

Światło księżyca nie przedzierało się do stóp drzewa, Gesualdo więc postawiwszy latarnię zaczął szybko kopać.

Po chwili łopata uderzyła o coś twardego. Był to nóż. Podniósł go ze wstrętem i zbliżył do latarni: ciemne plamy na ostrzu świadczyły o zaschłych kroplach krwi.

Nóż ten lekko zakrzywiony a długi ze sześć cali jest narzędziem pospolicie używanym przez lud włoski. Prawie każdy Włoch ma nóż podobny przy sobie i często też staje się on narzędziem zbrodni.

Gesualdo nie mógł wzroku oderwać od tego noża. Gdyby chociaż ten niemy przedmiot potrafił wyznać co uczynił!

Zdawało się don Gesualdowi, że jest pod wpływem jakiejś okropnej halucynacyi; długo klęczał na ziemi z narzędziem zbrodni w ręku, nareszcie włożył nóż w to samo miejsce i przykrył go ziemią a że panowała susza więc nawet nie znać było, że ktoś kopał w tem miejscu.

Poczem wolnym krokiem powrócił do plebanii; teraz nie wątpił już, że Gizellone wyznał prawdę. W pobliżu domu spotkał kilku chłopaków, którzy pędzili bydło na jakiś daleki jarmark. Pozdrowili go z uszanowaniem, lecz skoro odeszli, zaczeli się śmiać głośno.

Co ksiądz mógł robić o tej porze z łopatą w ręku? Chyba szukał skarbu... Chodziło bowiem podanie między ludem, że worki ze złotem są zakopane w pobliżu rzeki. Miało to być jeszcze za czasów wojny z Francuzami.

Gesualdo nie domyślając się, że był przedmiotem rozmowy, wrócił do plebanii i otworzywszy kościół modlił się długo. Następnie obudził zakrystyana i kazał mu dzwonić na mszę.

Sługa kościelny wstał rozgniewany, że go budzą tak rano i nazajutrz rozpowiadał wszystkim o dziwnem zachowywaniu się wikaryusza, który nieraz wstawał i chodził po nocy niewiadomo po co.

— Ja tam już długo z nim nie wytrzymam, dodał.

I tak powoli wzrastała niechęć do księdza wśród mieszkańców wioski; kumoszki chciały już udać się po radę do biskupa, lecz nikt nie śmiał pierwszy wystąpić, miano się więc tylko na baczności.

Jego niepokój budził podejrzenie, że więcej wie o morderstwie młynarza niźli chce powiedzieć.

Gesualda zaś z każdą chwilą bardziej dręczyła ta myśl iż stał się mimowoli wspólnikiem zbrodniarza; czyż bowiem jego przymusowe milczenie nie jest wspólnictwem?

Życie z podobną myślą stawało się prawdziwą torturą dla biednego don Gesualda.

— Czy niebo zesłało mi to cierpienie jako karę że zbyt żywo zajmowałem się sprawami światowemi? myślał i drżał nad wielkością nieistniejącego w rzeczywistości grzechu.

Od chwili owej nieszczęsnej spowiedzi zbrodniarza, don Gesualdo nie miał odwagi odwiedzić Generosę w więzieniu. Obawiał się aby widok jej cierpień nie zmusił go do mimowolnego wyznania tajemnicy, która mogła ocalić niewinną kobietę.

Wszystkie obowiązki swego powołania spełniał machinalnie i czy to w kościele czy w domu, zdawało mu się że widzi wyryte krwawemi zgłoskami, wyznanie Gizzelona.

A tymczasem zbrodniarz z całą swobodą korzystał z praw wolności, chodził, śmiał się, pracował, tak jak i inni jego towarzysze i nikomu na myśl nie przyszło, aby go o zbrodnię posądzić.

Dla biednej Generosy jeden tylko pozostał środek ratunku, mianowicie uniewinnienie dla braku potępiających ją dowodów.

Lecz podobne uniewinnienie równało się najsurowszemu wyrokowi, gdyż nie ścierało raz rzuconego podejrzenia i gdyby powróciła do wioski, nawet dzieci wytykałyby ją palcami.

Pewnego dnia wieczorem don Gesualdo udał się do willi gdzie zastał Falca zajętego przeglądaniem rachunków.

— Czy pan wiesz, że ostateczny wyrok w sprawie zamordowania Tassa Tassila, ma zapaść dnia dziesiątego przyszłego miesiąca? — zapytał zwolna przyciszonym głosem.

Młody człowiek skinął głową twierdząco.

— Jeśli Generosę uwolnią dla braku dowodów, czy uwierzysz pan w jej niewinność i pojmiesz ją za żonę? — ciągnął dalej don Gesualdo.

Na tak niespodziewane pytanie, Melegari zbladł widocznie.

— A widzisz pan, że nie uczyniłbyś tego — podchwycił don Gesualdo z żywością.

— Ależ ja tego nie powiedziałem — odparł wymijająco młody człowiek. — Nie wiem nawet czy Generosa wymagałaby tej ofiary.

Odpowiedź była jasna jak słońce i nawet don Gesualdo niewiele znający się na uczuciach i namiętnościach ludzkiego serca, nie mógł się pomylić co do jej znaczenia.

— Sądziłem, że pan ją szczerze kochasz — zaczął po krótkiej chwili milczenia — lecz widzę, że domysły moje były bezzasadne, przepraszam więc.

— Mieszasz się pan w kwestyą zupełnie dla siebie niewłaściwą — odparł gniewnie Falco. — Nie przeczę, że kocham namiętnie tę kobietę i myśl że ona znajduje się w więzieniu jest dla mnie nieznośną męczarnią. Zdaje mi się, że nie ma ofiary którejbym dla niej nie poniósł, aby ją tylko ztamtąd wyzwolić, lecz ożenić się z kobietą bądź co bądź zostającą pod zarzutem zbrodni, to zupełnie co innego. Nie zniósłbym tego, żeby jej

przyjaciele odwracali się od niej ze wstrętem, moja rodzina również odepchnęłaby ją ze wzgardą i słusznie, łatwiej bowiem uwierzyć w czyjąś niewinność, aniżeli wpoić to przekonanie w drugich.

Kończąc te słowa podniósł się i z gniewem odepchnął krzesło. W głębi duszy wstydził się zdań wygłoszonych przed chwilą, lecz jak wszyscy Włosi był egoistą i własny interes cenił nad wszystko w świecie.

Don Gesualdo utkwił w nim wzrok pełen niewysłowionej pogardy. Ten piękny młodzieniec wydał mu się w tej chwili bardzo nędznym i małodusznym człowiekiem.

— Pan sam w głębi duszy podejrzywasz ją także — rzekł i skierował się ku drzwiom prowadzącym na taras.

— Nie, nie, Bóg mi świadkiem, że nie zwątpiłem ani na chwilę o jej niewinności — zawołał Melegari — ale czyż ja mogę przelać w drugich moje własne przekonanie?... Skoro ją wypuszczą z więzienia, będę dla niej najszczerszym przyjacielem i nie pozwolę jej popaść w nędzę, lecz ożenić się z nią, aby mi każdy mógł powiedzieć, że moja żona siedziała w więzieniu, nie, to niepodobieństwo i żaden mężczyzna ceniący choć trochę swój honor nie uczyniłby tego. Człowiek żeniąc się musi przecie zdać z tego kroku rachunek przed światem.

Lecz dowodzeń jego nikt nie słuchał, gdyż postać don Gesualda zniknęła już między drzewami ogrodu.

Młody człowiek usiłował znowu zająć się robotą, lecz myśl opanowana innym przedmiotem, nie dozwalała mu spokojnie sprawdzać rachunków.

Zniecierpliwiony zarzucił strzelbę na ramię, gwizdnął na psa i skierował się ku pagórkom w nadziei, że polowanie uspokoi wzburzone jego nerwy.

Najbardziej gniewało go to, że wobec don Gesualda przedstawił się jako tchórz i człowiek bez serca.

Z początku litość don Gesualda nad nieszczęśliwym losem Generosy, wzbudziła w sercu Falca sympatyą dla tego człowieka, który nietylko nie potępiał ale nawet stawał w obronie Generosy.

Teraz jednak nagle współczucie zmieniło się w gniewne uniesienie zblizka graniczące z nienawiścią.

Melegari był gwałtownego i namiętnego charakteru i niecierpiał, gdy kto zganił go choćby nawet w najdelikatniejszy sposób, i to stało się zapewnie źródłem niechęci jaką powziął do don Gesualda.

Tymczasem don Gesualdo używał wszelkich sposobów, aby skłonić mordercę do dobrowolnego wyznania popełnionej zbrodni.

Starał się często widywać z nim sam na sam mniemając, że obawa wiekuistej kary i groźba mąk w życiu przyszłem, skłonią go do szczerego obwinienia się przed sądem.

Lecz upór i samolubstwo potęguje się jeszcze bardziej u istot ciemnych i nieszlachetnych.

To też i Gizellone był głuchym tak na groźby jak i na błagania don Gesualda.

— Czy mi z tem źle, że uniknąłem niebezpieczeństwa? — mawiał z zuchwałą bezczelnością. — Nie głupim przyznać się do zbrodni; cóż mnie to obchodzi, że Generosa siedzi w więzieniu? Niech sobie siedzi, dobrze jej tak, przynajmniej będzie ukarana za swoją dumę i wyniosłość. Ledwo, że raczyła powiedzieć człowiekowi dzień dobry, a głowę to zadzierała tak wysoko, jakby była księżniczką a nie córką biednego piaskarza z Bocca d'Arno. Niech teraz cierpi, niech się dusi w ciasnej celce więziennej, tam już nie może się stroić a blask jej oczu i świeżość cery zmyją potoki łez, które bezwątpienia wylewać musi codziennie.

Don Gesualdo dobierał najsilniejszych argumentów, chcąc zmiękczyć duszę zbrodniarza, lecz wszystko napróżno, Gizellone był poniekąd dumny ze swego haniebnego czynu i gniewało go tylko to, że zbrodnia jego nie przydała mu się na nic, gdyż Tassillo nie miał przy sobie pieniędzy.

— Będziesz w piekle gorzał po wieki wieków, jeżeli nie wyznasz twej winy, groził mu don Gesualdo.

— Eh, piekło jest daleko a galery blizko — odpowiadał skrobiąc się w głowę Gizellone — wolę już pójść do piekła.

— Jeżeli nie wierzysz w to, że ja cię mogę rozgrzeszyć lub potępić, to pocóżeś przychodził do spowiedzi? — ciągnął dalej don Gesualdo.

— Człowiek jak mu coś dolega, musi się przecie przed kimś zwierzyć i wtedy lżej mu na duszy. Ja dlatego zwierzyłem się waszej wielebności, że wiem, iż mnie zdradzić nie możecie.

Taka bywała mniej więcej jego odpowiedź i ani prośby, ani zaklęcia nie potrafiły zachwiać jego postanowieniem.

Jednak po pewnym przeciągu czasu, Gizzelone zaczął doznawać uczucia dziwnego niepokoju i niewytłomaczonej trwogi. Myśl, że ktoś wie o jego złowrogiej tajemnicy, dręczyła go okropnie. Chociaż wiedział, że don Gesualdo zdradzić go nie może, drżał jednak zawsze, gdy zdaleka ujrzał przejeżdżających żandarmów.

Dręczony obawą, policzył swoje fundusze, chcąc się przekonać czy one wystarczą mu na podróż do Ameryki. Lecz choć miał mało pieniędzy, postanowił bądź co bądź próbować szczęścia i przepłynąć Atlantyk, aby raz na zawsze uchronić się od karzącej ręki sprawiedliwości.

Aby upozorować swój wyjazd, zmyślił jakąś historyjkę o krewnym, który osiedliwszy się w Ameryce, wzywał go do siebie i pewnego pięknego poranku zebrawszy swoje manatki puścił się do Livorno.

Przez kilka godzin ludzie gadali o wyjeździe Gizzellona, lecz że go nikt nie lubił, zapomniano o nim wprędce.

Don Gesualdo dowiedział się o wszystkiem dopiero po południu.

— Mój Boże, odjechał, porzucił kraj! — zawołał drżącemi usty.

Był tak przerażony, że ledwo zdołał utrzymać się na nogach, ostatnia nadzieja zmiękczenia serca zbrodniarza znikła bezpowrotnie.

Ludzie nie mogli wytłomaczyć sobie jego wzruszenia.

— Co może księdza obchodzić ten głupiec Gizellone? — powtarzali wzruszając ramionami.

Tymczasem Gizellone dostał się do Livorno i wsiadłszy na okręt popłynął do Ameryki. Mieszkańcy Marca niewidzieli go już nigdy. Przepadł jak kamień w wodę, zrzuciwszy na niewinną duszę księdza ciężar swego występku.

Dopóki Gizellone był jeszcze w wiosce, Gesualdo miał nadzieję, że go skłoni do wyznania przed sądem tego co wypowiedział przed kratkami konfesyonału, lub że jakiś nieprzewidziany wypadek przyczyni się do wyjaśnienia prawdy, lecz gdy zbrodniarz rzucił po za siebie przestrzenie mórz i oceanu, don Gesualdo wyrzucał sobie, że nie potrafił ocalić duszy tego nędznika, że był dla niego za słabym i za pobłażliwym.

Niepowodzenie swoje uważał jako znak gniewu Bożego i dręczył się nie widząc znikąd ocalenia.

— Jeden tylko człowiek mógł ocalić niewinną Generosę — powtarzał z głębokim smutkiem — i człowiek ten umknął. Nie przypuszczałem aby podobna nikczemność przyszła komu do głowy.

Dnie wlokły się teraz nieznośnie dla don Gesualda, obowiązki swoje spełniał jak we śnie, zdawało mu się, że powoli życie zeń ulatuje a on sam stacza się w jakąś bezdenną przepaść.

Nieustająca walka toczyła się w jego sercu, nie mógł wyjawić tajemnicy bez popełnienia śmiertelnego grzechu, a z drugiej strony wzdrygał się na myśl, że Generosa cierpi niesłusznie.

(Dokończenie nastąpi.)

WYSTAWA MUZYCZNA.

Gdy znany muzyk i kompozytor a zarazem mecenas artystów, hr. Gustaw Plater, zaprojektował przed dwoma miesiącami urządzenie u nas wystawy muzycznej, pomysł jego licznych znalazł przeciwników. Dowodzono, racyonalnie po części, iż wystawa wtedy osiąga cel właściwy, gdy przedstawia wyroby krajowe i stopniowy ich rozwój, że produkowanie obcych bo za granicą wykonanych instrumentów, do niczego u nas nie prowadzi. Zarzuty słuszne były w zasadzie. Hr. Plater jednak, któremu chodziło głównie o wspomożenie kasy zaliczkowej artystów teatralnych, nie dał się zrazić tak łatwo. Przy dzielnej jego zapobiegliwości i staraniach, trzy salony wpałacu hrabiów Krasińskich zapełniły się wkrótce przeróżnemi okazami, i publiczność warszawska tłumnie odwiedzająca wystawę doszła do takiego zaciekawienia, iż płynąc setkami na Krakowskie, wypełniała po brzegi komnaty, pieśni i tonom poświęcone wyłącznie. Wystawa stała się istnym punktem zejścia, klasy inteligentnej, dziś więc zamkniętej należy się słówko uznania.

Każda z sal pociąga nas innemi osobliwościami, rozmieszczonemi na tle do pałacu należących obrazów i portretów.

W pierwszej, uderza rozwieszona na szkarłatnej gustownej draperyi, kolekcya cała instrumentów rzniętych i dętych, dalej samogrające szkatułki... genewskiej fabryki, zbiór podobizn wybitnych muzyków i wreszcie na środku, stary fortepian zbudowany na początku bieżącego stulecia w Londynie. Artystyczną wreszcie część tego salonu, uzupełnia tekturowy model małego teatrzyku i obok, prawdziwy już entuzyazmujący publiczność teatr, pod postacią nadobnych naszych cór Talii i Terpsychory, które się tu sprzedaży fotografii i katalogów podjęły.

Pierwsza więc sala nie jest jak widzimy zbyt bogatą, lwia też część zajęcia i podziwu, drugiej przypada dopiero.

U wstępu już oczy nasze uderza olbrzymia machina, skomplikowana, błyszcząca, a w purpurowe draperye przybrana. To orkiestryon, czyli wielka

samogrająca katarynka, wyrobiona w fabryce Mozera w Moskwie. Dźwięk jej, naśladujący całą orkiestrę wstrząsa szybami, ludek też garnie się tu gromadnie.

Pomimo tego, nakręcanie olbrzyma i zakładanie cylindrów z nowemi nutami, żywą wzbudza ciekawość, głos zaś pełny, różny od rozpaczno-drżących pisków katarynki, podziw wywołuje.

Obok orkiestryonu, spotykamy tu jeszcze w gablotce stare rękopisy i druki, źródło do przyszłych badań nad historyą muzyki w Polsce. Na środku w osobnych, oszklonych szafkach widnieje zbiór cennych skrzypiec, ściany zaś, przyozdobiono z jednej strony w instrumenty przywiezione z Jasnej Góry i rozmieszczone pod obrazem Matki Bozkiej Częstochowskiej, z drugiej w pierwotne narzędzia muzyczne nasze i afrykańskie, z których kobza tylko jedna, nie jest nam dziś obcą.

Trzeci wreszcie i ostatni salon, to muzeum najdroższych pamiątek. Stare szpinety, klawikordy i samogrające ptaszki, bledną tu wobec skromnego fortepianu Playela, na którym grywał zwykle nieśmiertelny nasz mistrz tonów Fryderyk Szopen. Milczący ten Playel dziwnie przemawia do duszy, zdaje się, iż patrząc nań, słyszymy jeszcze echo cudownych polonezów i mazurków. Próżne jednak złudzenie; ręka, która przejmujące te wywoływała dźwięki, leży dziś martwa w brązowym odlewie, obok niej zaś maska pośmiertna genialnego muzyka resztę rozwiewa złudzeń. Autografy i portrety Szopena uzupełniają zbiór pamiątek po wielkim naszym mistrzu harmonii.

Druga maska pośmiertna, również znakomitego muzyka, maska Beethowena, schowała się skromnie na ostatnią i najniższą półkę innej szafki. Nic dziwnego; nad nią zajęły miejsce nietylko batuty i medale żyjących znakomitości, ale nawet puhar srebrny pana Lewandowskiego lub papierośnica i zapalniczka innej jakiejś wielkości. Beethowen sam sobie winien, po co umarł zawcześnie; gdyby żył, nie potrzebowałby przed papierośnicą zjeżdżać na ostatnią półkę.

Niewiele również wspólnego z muzyką mają pamiątki po Królikowskim, drogie i miłe, ale bez dobrej racyi na wystawie umieszczone. Rażą tu wreszcie adresy, laury, wieńce i powinszowania dla innych, żyjących śpiewaków i artystów, których skromność okazana przez wystawienie na widok publiczny tych poufnych pamiątek... w zdumienie wprawia.

Przebiegłszy tu główniejsze okazy, z pominięciem harf, cytr, lutni, teorbanów etc., widzimy iż wystawa nie odznaczała się nadzwyczajną obfitością i bogactwem. Dość jednak powiedzieć, że prócz samogrających instrumentów, z olbrzymim orkiestryonem na czele, koncertowali tu codziennie wybitniejsi artyści, aby zrozumieć, iż inteligentna i artystycznym smakiem obdarzona publiczność cisnęła się chciwie do pałacu, odnosząc ztąd oprócz zadowolenia, korzyść niemałą. Hrabiemu Platerowi też, jako inicyatorowi wystawy, należy się podwójna podzięka; raz: że przysporzył sympatycznej kasie artystów 2,000 rs. dochodu, powtóre, że złamaniem pierwszych lodów, oraz skrzętną zapobiegliwością utorował drogę następnej wystawie, która mamy nadzieję, o wiele bogatszą i obfitszą będzie.

N.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Jakkolwiek chwilowem ciepłem zajaśniały dni przedświąteczne, pokazały się nawet błyskawice, bociany i dzikie gęsi przeleciały nad Warszawą, jako zwiastuny upragnionej wiosny, zima jednak ze stanowczem nas opuszczeniem jakoś się opóźnia.

Jednocześnie o klęskach powodzi ze wszystkich stron dochodzą wieści bardzo bolesne.

Wisła, Warta, Odra wraz z wpadającemi do nich rzekami wystąpiły z koryta, szerząc nędzę i zniszczenie, zalewając miasta i pola, pozbawiając ludzi mienia i życia. W Poznaniu woda coraz dalej toruje sobie drogę, domy niżej położonych części miasta zalane są zupełnie, nadomiar nieszczęścia i zakład gazowy stoi pod wodą, tak że miasto pozbawione jest zupełnie oświetlenia. Poziom wód Warty wyższy już jest, niż w roku 1866 podczas pamiętnej powodzi, a nietylko, że nie opada, lecz podnosi się w dalszym ciągu. W Elbing nad Nogatem woda na przedmieściach dosięga już drugiego piętra, w Maryenburgu kilka domów runęło, tamy i szluzy poprzerywane są wszędzie. Woda w dolinie Nogatu zalała już 77 miejscowości, doprowadzając do nędzy 30,000 mieszkańców. Straty w ludziach są znaczne, na razie wszakże oznaczyć się nie dadzą. Pośród ludności panuje apatyczna rozpacz; setki osób dniem i nocą siedzą na dachu, nie myśląc już nawet o ratowaniu życia. Wszędzie utworzyły się komitety pomocy, a pionierzy dzielni niosą ratunek; położenie jednak staje się coraz rozpaczliwsze, gdyż wody tak Warty, jak Wisły przybierają nieustannie. W Poznańskiem przeraża najbardziej widmo nędzy głodowej, gdyż zbiory są w licznych bardzo miejscowościach zupełnie zniszczone. Z nad Elby takie same nadchodzą wieści, poziom wód z niesłychaną podnosi się szybkością, uniemożliwiając wszelki ratunek. Najrozpaczliwszem może jest położenie w Węgrzech, gdzie domy, podmyte spienionemi falami, zapadają się jeden po drugim, a co oszczędziła woda, zniszczył ogień; miasta: Szegedyn, Temeszwar, Bekiesz i Kikinda, zostały bowiem nawiedzione groźnemi pożarami. Szkody zrządzone przez wylew Nogatu i Wisły w Poznańskiem i Prussach Wschodnich, obliczają na 30 milionów marek.

W szpitalu ś-go Ducha, w klinice chorób wewnętrznych prof. Lambla, doktor Julian Ochorowicz czynił doświadczenia magnetyczne i hypnotyczne na chorych. Do doświadczeń służyły dwie chore, jedna cierpiąca od roku na dyspesyę nerwową z podkładem histeryi, druga oddawna już dotknięta uwiądem rdzenia mózgowego. Na tych chorych pan Ochorowicz pokazywał główniejsze zasady hypnotyzowania oraz metaloterapii, zwracając zarazem uwagę, jakich należy trzymać się sposobów przy stosowaniu magnetyzmu i metaloterapii, w odnośnych cierpieniach. Doktor Ochorowicz zastrzegł się wyraźnie, iż leczenie jego sposobami szczególniej u chorej dotkniętej wiądem rdzenia, trwać będzie długo, nie prędzej bowiem jak za dwa miesiące, mogą się okazać zbawienne skutki.

Obecny dyrektor kliniki prof. Lambl, zgodził się na leczenie chorej hypnotyzmem i zarazem upewnił, iż chora znajduje się odtąd w zupełnej zależności od doktora Ochorowicza lub któregokolwiek z hypnotyzujących ją lekarzy i żadnych lekarstw odtąd przyjmować nie będzie. Zarazem obecni lekarze, w celu zaznajomienia się z metodą doktora Ochorowicza, upraszali go o dalszy ciąg doświadczeń, które też odbywać się będą co tydzień wieczorem, w dzień umówiony.

W niechęci dość upowszechnionej dla ludu wiejskiego, oskarżającej go o brak serca i wdzięczności, fakt dowodzący czego innego, jesteśmy pewni, że chętnie przez naszych czytelników przyjęty zostanie.

Jeden z właścicieli ziemskich, który przez rozliczne okoliczności stracił majątek i sprzedano mu jego dobra, przez lat kilka nie zaglądał w swoje rodzinne strony i sądził, że jak od wielu sąsiadów i znajomych, tak i od dawnych swych włościan został zapomniany.

W tych dniach wypadł mu interes familijny w tamtę okolicę, gdzie były niegdyś jego majątki. Po przybyciu na stacyę drogi żelaznej w straszną zawieję, spotkał już to między służbą stacyjną, już będących na stacyi kilkunastu dawnych włościan i czeladzi, którzy spostrzegłszy go natychmiast otoczyli i z prawdziwem rozczuleniem witali.

Nie dozwolili mu puścić się w drogę nocą przy zawiei, wyszukali pomieszczenie dla przenocowania, wystarali się o furmankę zrana, a kiedy zoczyli że nie miał cieplejszego okrycia, ten pobiegł po kożuch, drugi po buty filcowe i tak dopiero zaopatrzywszy puścili w drogę. Kiedy zaś chciał im dać parę złotych za ich fatygę, stanowczo nie przyjęli i zaledwo wypili po kieliszku wódki za jego zdrowie. Powtórzyli, że nic nie wezmą, bo przecież był dla nich dobrym panem i nigdy o nim nie zapomną.

W pierwsze święto Wielkiej Nocy w lokalu Towarzystwa osad rolnych urządzone było święcone dla byłych wychowańców Studzienieckich, znajdujących się w Warszawie.

Nie tylko jednak o „nakarmienie łaknących" chodziło Towarzystwu, lecz przedewszystkiem o udzielenie b. wychowańcom pokarmu duchowego którego nie mają do zbytku w życiu codziennem.

W tej myśli uproszony proboszcz miejscowej parafii ks. kanonik Świnarski przemówił do zgromadzonych 14 młodzieńców w serdecznych słowach, wskazując im obowiązki etyczne względem Boga, społeczeństwa i samych siebie.

Następnie przemówił przewodniczący w zarządzie i rozwijając myśli, wyrażone przez ks. Świnarskiego, wskazał praktyczne środki ich wykonania i życzył, aby przy obchodzie uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego, wszyscy zmartwych powstali z ułomności i wad swoich, a stając się użytecznymi pracownikami, spłacili dług wdzięczności zaciągnięty przed społeczeństwem, za dobrodziejstwo wychowania, jakie z rąk jego otrzymali.

Obie przemowy wywarły wpływ na zgromadzonych, a uroczystość sama utrwaliła serdeczny stosunek opieki, jaką zarząd Towarzystwa otacza b. wychowańców Studzienieckich, dziś już samoistną pracą płacących społeczeństwu długi wdzięczności.

Liczba studentek na uniwersytecie w Zurychu wynosi obecnie 45, z tych 29 uczęszcza na medy-

cynę, 14 na filozofię i 2 na nauki państwowe. W Paryżu w roku 1887-ym studyowało 108 kobiet.

Surowa zima tegoroczna dała się dotkliwie uczuć i Hiszpanii. W prowincyach biskajskich, w Vitorii, Burgos aż do zachodniego krańca szalały śniegowe burze i zawieje. Komunikacya kolejowa została przerwana, znaczna liczba osób zginęła, a w niektórych miejscach z powodu utrudnionego dowozu, brak jest artykułów żywności.

Zginęło też w śniegu wiele bydła, a zwłaszcza owiec. Podobnie ostra zima nie panowała dotąd w Hiszpanii.

W innych znów miejscowościach zaczęły się już powodzie, jak w dolinach rzek: Ebro, Duro i Tago.

Trzęsienie ziemi w Chinach. O strasznej katastrofie elementarnej, jaka nawiedziła prowincyę chińską Yunnan, nadchodzą obecnie dopiero bliższe wiadomości.

Największemu spustoszeniu uległ departament Ching-Chan, gdzie trzęsienie ziemi powtarzało się przez cztery dni z rzędu i gdzie zginęło 15,000 osób.

Miasta Lamon i Yamen zamienione są w stos gruzów, pod którremi legło przeszło 4,000 osób. W So Chan i Chuen nastąpiła zupełna zmiana powierzchni ziemi; całe miejscowości zapadały się, tworząc olbrzymie jezioro, w którem utonęło 10 tysięcy osób.

Komisarz cesarski, wysłany na miejsce katastrofy, w urzędowym raporcie ocenia liczbę osób zabitych ogółem na 100,000 zaś 1,800,000 ludzi pogrążonych jest w ostatecznej nędzy.

Klub damski. Grono pań wyższego towarzystwa w Paryżu, postanowiło utworzyć na wzór arystokratycznych klubów męzkich damski klub, w którym członkinie mogłyby czytywać gazety, grywać w szachy, karty, domino, bilard, słowem oddawać się wszystkim zwykłym rozrywkom klubowym.

Ponieważ członkinie klubu są przeważnie zamężne, przeto kuchni prowadzić nie będą, ograniczając się na herbacie i przekąskach. Klub będzie otwarty tylko we dnie, podczas godzin biurowych mężczyzn.

Warunki przyjęcia do klubu będą bardzo trudne i tylko kobietom niepokalanej przeszłości i uczciwości bez zarzutu wstęp do nowego stowarzyszenia będzie dozwolony.

Ciekawa rzecz ile też klub liczyć będzie członkiń?

Naukę kucharstwa zaprowadzono od niedawna we wszystkich żeńskich szkołach ludowych w Londynie.

Nauczycielki do tej nauki kształci osobna szkoła kucharska w Kensington, do której uczenic i patronek zalicza się znaczna liczba dam z najwyższej arystokracyi.

Kobiety wynalazcami. Według *Patent-Office*, w Waszyngtonie już 1,900 kobiet otrzymało patenty na wynalazki, a ktoś złośliwie utrzymuje, iż wielu mężczyzn zawdzięcza swoje patenty kobietom! Teleskop podziemny wynalazła pani Mather z Nowego Jorku, opancerowanie statków wojennych pani Montgomery, panna Goeham wynalazła nawet nową armatę! Pewna dama z Baltimory zamierza ulepszyć łączniki w wagonach kolejowych, inna zaś szyny tramwajowe. Pani Beasely wymyśliła czółno ratunkowe dla rozbitków, pani Tanney z Pensylwanii przyrząd do wydobywania statków zatopionych i Syphon-Propeller pompę, panna Bird nową piszczałkę parową, pani Coston pyrotechniczny sygnał nocny, pani Beaumont z Ohio równie czółno ratunkowe i t. d. Maszyna do szycia, którą można nosić w torbie ręcznej i przymocować do każdego stołu, poprawiona została przez pannę Rosenthal. Pod względem wynalazczości górują kobiety z Nowego Jorku, po nich idą kobiety z Massachusetts, Ohio Indiana i Winconsinu.

W Paryżu istnieje obecnie szkaradna moda różowania i bielenia dzieci. W ogrodach publicznych widzieć można trzyletnie dzieciaki, którym nierozsądne matki już brwi farbują. Inne damy znów uważają, że cera ich pieszczotek jest zbyt świeżą i pudrują im buziaki mąką ryżową; nierzadko zaś zdarza się spotkać dziewczątka, liczące po 10 lat wieku, z malowaną czarną linią pod oczami, przez co źrenice wydają się większemi. Czyż podobna wymyśléć coś głupszego?...

Obchód wielkiego piątku w Brazylii odznacza się oryginalnością. O północy żałobny orszak, złożony z tysięcy ludzi z gromnicami rozpoczyna uroczysty pochód. W środku orszaku postępuje grono najwybitniejszych mężów danego miasta, niosąc trumnę Chrystusa, za którą znów inni mężowie niosą posąg Matki Bozkiej, przybrany we wspaniałe żałobne szaty. Obok posągu kroczy młoda śpiewaczka, przebrana za Ś-tą Weronikę, która na rogu każdej ulicy rozwija chustkę z pokrwawioną głową i śpiewa swoją legendę. Bractwa w pąsowych jedwabnych sutanach, księża, pokutnicy, setki dzieci przebranych za aniołów i cały tłum postępuje wolno i uroczyście śród żałobnych dźwięków trzech kapeli. Na rogach ulic wiszą na słupach Judasze ze słomy, które w wielką sobotę, punktualnie o 12 ej w południe, są rozdzierane przez tłum, szczególniej, z powodu ukrytych w nich pieniędzy.

Elektryczność znajduje coraz to szersze zastosowanie.

W szpitalu Salpêtrère z inicyatywy doktora Charcot, urządzoną została *lecznica elektryczna*, w której jedne wielką salę przeznaczono wyłącznie na ten użytek. Chorzy zasiadają na stołkach izolowanych za pomocą nóg szklannych i kauczukowych podkładek i biorą tak zwaną kąpiel elektryczną. Elektryczność przenika całe ciało pacyenta i odpływa przez kończyny: ręce, nogi, włosy, które powstają i jeżą się i rozrzucają, a doktor skierowuje ładunek elektryczny na organa chore, za pomocą odpowiednich przyrządów. W ciągu jednego posiedzenia dwieście osób może używać kuracyi elektrycznej, a jeden medyk może z łatwością wydołać. Kąpiel elektryczna nie sprawia żadnej przykrości, chorzy najspokojniej ją znoszą, mężczyźni czytają podczas posiedzenia, rozmawiają całkiem swobodnie, kobiety robią zwykłe robótki.

Kuracya elektryczna okazuje się bardzo skuteczną w wielu leczy przypadłościach, oprócz chorób nerwowych, osłabienie, złe krążenie krwi, nieprawidłowe odżywianie, choroby żołądka i mlecza pacierzowego, opierające się zwyczajnym środkom leczniczym, dają się w ten sposób radykalnie wyleczyć.

Jak dotąd, jestto jedyna *lecznica elektryczna* na świecie; pacyenci przybywają tu nawet z Ameryki.

Swat młodzieńca z posażną panną, pyta się ojca jej niby dyplomatycznie:

— Cóż córka pańska wniesie do domu męża swego?

— To zależy od różnych okoliczności — odpowiada zapytany niby z głupia frant — jeżeli się przedtem zaziębi to katar z pewnością.

* * *

Od dawnego czasu rząd angielski starał się zawrzéć ze Stanami Zjednoczonemi konwencyę o wydawaniu przestępców. Udało mu się to nareszcie i rząd republiki amerykańskiej przedstawił właściwy projekt senatowi Stanów Zjednoczonych. Znaczna część senatorów była projektowi temu przychylną; poseł angielski w Nowym Yorku cieszył się już, w nadziei, że wkrótce będzie wyławiał jednego Irlandczyka po drugim, gdy tymczasem w gronie senatorów znalazł się senator Riddlesberger z Wirginii, który ekstradycyę uważał za coś haniebnego. Kiedy więc zaczęły się obrady nad traktatem z Anglią, Riddlesberger, czując, że większość jest za traktatem, że w sposób legalny wniosku owego nie przeprze, począł przeszkadzać i naruszać porządek obrad, czem wreszcie wywołał mały skandal na publicznem posiedzeniu senatu. W chwili zaś, kiedy rozpoczęto posiedzenie tajne, Riddlesberger przyszedłszy do głosu, rozpoczął mowę. Mówił kwadrans, mówił pół godziny, godzinę, popijał co chwila jakiś napój podniecający, lecz mówił dalej nie dbając o to, czy mówi... do rzeczy lub też nie. Nie o to też mu chodziło. W końcu jeden z senatorów widząc, że wielu kolegów znudzonych odeszło, spytał mówcę:

— Jak długo będziesz pan jeszcze mówił?

— Dotąd, dopóki ten haniebny traktat nie będzie odrzuconym raz na zawsze.

To powiedziawszy mówił dalej, aż w końcu senator Steward z Newady podniósł wniosek, ażeby dalsze obrady nad traktatem odroczyć na czas nieograniczony. O to też Riddlesbergerowi chodziło; pierwszy też podniósł rękę za tym wnioskiem, który ostatecznie został przyjęty 23 głosami przeciwko 21.

Bawiący w Waszyngtonie Irlandczycy wyprawili mu naturalnie owacyę.

* * *

Wiadomo, że Wilson zięć byłego prezydenta Grewego, skazany jako bezczelny oszust i wyzyskiwacz powagi urzędu swego teścia, przez sąd na dwuletnie więzienie, w apelacyi został uniewinniony, i że dzisiejszy prezydent Francyi, Carnot, zaraz po tym wyroku złożył wizytę Grewemu, jako zwiastun miłej dla niego niespodzianki.

Uniewinnienie to Wilsona dostarczyło dawniejszemu feljetoniście *Figara*, Albertowi Millaud, tematu do nowej fantazyi.

Wczoraj wieczór, pisze Millaud, dopełnił się akt sprawiedliwości, przynoszący zaszczyt prezydentowi Carnot. Prezydent, dowiedziawszy się o uwolnieniu Wilsona, zawezwał niezwłocznie prezesa ministrów, p. Tirard, i w jego towarzystwie pojechał do p. Grévy. Oczom wchodzących przedstawił się obraz patryarchalny i wzruszający jednocześnie. Przy ogniu kominkowym siedziała pani Grévy i haftowała dla męża swego pantofle z monogramem: *J. G.*; pani Wilson czytała romans a pan Wilson, który nie ma dużo czasu, był już znów zarzucony interesami. Na widok gości twarz pana Grévy przybrała wyraz zdumienia.

— Jesteś pan zdziwiony memi odwiedzinami, jak widzę — rzekł Carnot — dowiedzże się pan, że je zawdzięczasz uniewinnieniu swego zięcia.

— A więc wizyta z powinszowaniem? Bardzo to ładnie z pańskiej strony, proszę przyjąć moje podziękowanie! — odparł Grévy.

— Nie jest to wizyta z powinszowaniem, chodzi tu tylko o akt sprawiedliwości. Zmuszono pana do abdykacyi, gdyż zięć pana był pod ciężkim zarzutem. Wobec oskarżenia, jakie przeciw niemu wniesiono, pan nie mogłeś utrzymać się na swojem stanowisku.

Carnot zamilkł na chwilę; wszyscy obecni byli widocznie wzruszeni. Carnot ciągnął dalej:

— Dzisiaj wyrok sądu oczyszcza pana Wilsona i wykazuje jego absolutną niewinność. Śród takich okoliczności abdykacya pana nie jest uzasadniona i dlatego proszę pana, aby objął napowrót ster rządów.

— Co panu przyszło do głowy? — zawołał Grévy zmieszany.

— Zaszło nieporozumienie, które się teraz wyjaśniło i ja nie mogę w żaden sposób zajmować stanowiska, które pan opuściłeś jedynie z powodu tegoż nieporozumienia. Przychodzę, aby pana przywrócić w pałacu Elizejskim.

Przy tych słowach Carnot zwrócił się do Tirarda, mówiąc:

— Upoważniam mego prezesa ministrów do pójścia jutro na posiedzenie i zażądania od deputowanych, aby wypełnili swój obowiązek tak, jak ja mój spełniłem.

W pięć minut później Carnot zmusił pana Grévy, aby wsiadł z nim do powozu, a po dalszych pięciu minutach pan Grévy wystawił kwit na pierwszą pensyę miesięczną.

* * *

— Proszę mi pokazać pianino z krzyżowanemi strunami.

— Mogę panu polecić bardzo dobre za czterysta rubli.

— Potrzebuję go dla mojej córki hrabiny, to może ma pan droższe, więcej krzyżowane.

RÓŻNE MYŚLI.

Najgorszy z pomiędzy zwierząt dzikich tyran, z domowych pochlebca.

Marmontel.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Kazimierze Sc. w Kole. Staraliśmy się koniecznie dać odpowiednie objaśnienie co do prania pierzy, ale tylko tyle o tem dowiedzieliśmy się, że to robota, której bez odpowiednich przyrządów i umiejętności ich użycia, nie da się w domu dokonać. Ztąd nastąpiło opóźnienie odpowiedzi. W Warszawie znajduje się pralnia pierza przy ulicy Długiej wprost Cerkwi.

P. I. Jordan w Puchowójtach. Numer z pewnością został z redakcyi wyekspedyowany, zaginął zatem w podróży. Wysłano go powtórnie.

Pani A. Darewskiej w Kłocinie. Tygodnik nie jest w Redakcyi prenumerowany, nie możemy zatem numerów zatraconych przesłać.

ZAWIADOMIENIA.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

PRZYJACIEL DZIECI

numer 15 wyszedł z druku i zawiera:

Ptastwo domowe (z drzeworytem). — Koń i osieł (wiersz). — Oj! te chłopaki, te chłopaki! (komedyjka). — Podróż Mickiewicza. — Kolej napowietrzna (z drzeworytem). — Tyr (z drzeworytem). Zbłąkany. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Roztrzepana dziewczynka. — Ślepy dziadek (wiersz). Mały Grześ (z drzeworytem). — Wróbel (wiersz). Gdybym... — Odpowiedzi od Redakcyi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Марта 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.